



Niedokończony lot (fragmenty)

Stanisław Kwiatkowski

Published: 2009

Categorie(s):

Tag(s): wspomnienia warszawa powieść biografia prl proza „nowy świat” 33strony

Chapter 1

New Chapter

Samolot drgnął i powolutku zaczął się cofać.

Czy samolot może jechać do tyłu? – zastanowił się Stefan. – Co za idiotyczna myśl. Oczywiście, że nie. To wózek przyczepiony do przodu wypycha go ze stanowiska.

Spojrzał na sąsiada, jakby sprawdzając, czy ten przypadkiem nie usłyszał tych absurdalnych myśli.

Siedzący po prawej stronie, starszy pan w wieku około 65–70 lat, ubrany był swobodnie, choć z widoczną starannością. Na kolanach trzymał magazyn pełen barwnych zdjęć, zapisany drobnym drukiem. Stefan nie mógł rozróżnić czy to polskie, czy anglojęzyczne czasopismo.

Zatrzymali się i znowu ruszyli, tym razem do przodu. Powoli mijali stojące przy terminalach samoloty, do których kadłubów przylegały rękawy przejść, niczym gigantyczne robaki przyssane do ciał swych ofiar. We wnętrzu samolotu między rzędami foteli stały stewardesy. Z toreb wyciągały maski tlenowe i kamizelki ratunkowe. Z głośników miły głos informował, co należy robić w czasie wodowania, a jak się zachować w przypadku dekompresji.

Po jaką cholere to całe przedstawienie. Przecież w razie wodowania i tak pójdziemy na dno jak kamień, a dekompresja na tej wysokości... ? Nie wiem, czy ktokolwiek by przeżył. Komunikaty o katastrofach lotniczych kończą się zwykle stwierdzeniem: „no survivors”.

Zaraz, zaraz – pomyślał. – Jak to będzie po polsku... ? Chyba: „nikt nie ocalał”.

Po prawie trzydziestu latach pobytu za granicą coraz częściej zauważał, że sprawiały mu kłopoty nawet najprostsze polskie wyrażenia. Rozmawiając z rodziną i ze znajomymi, wtrącał machinalnie angielskie zwroty. Wszyscy rozumieli tę mieszankę językową i prawie każdy tak mówił. Ale w czasie wyjazdów do Polski bardzo starał się nie używać obcych słów. Był zażenowany, gdy zaczynał się w rozmowie, szukając

właściwego wyrażenia. Nie chciał być posadzany o bufonadę i śmieszne afiszowanie się angielszczyzną.

Stewardesy skończyły demonstrację, popakowały torby i znikły w przejściach do pomieszczeń służbowych. To tylko show. Chcą poprawić komfort psychiczny pasażerów podczas startu. Chociaż może nie tylko...

Czytał kiedyś wspomnienia faceta, który przeżył katastrofę lotniczą. Zdaje się, że to był ten wypadek w Wichita... ? Ktoś uratował się dzięki temu, że zapamiętał dokładnie drogę do drzwi awaryjnych. Kiedy buchający dymem i płomieniami, koziołkujący wrak samolotu zatrzymał się wreszcie, po omacku znalazł drogę do wyjścia i wyskoczył. Jaka szansa...? Jedna na setki tysięcy...? Miliony... ? Miał dużo szczęścia...

Stefan rozejrzał się uważnie i zlokalizował najbliższe wyjście awaryjne. Stewardesy powróciły do kabiny i przechodząc między rzędami siedzeń, lustrowały każdego pasażera. Niekiedy poprawiały zapięcia pasów i ustawienia foteli.

Silniki zaryczały i samolot leciutko zadrżał. Nagłe przyśpieszenie wcisnęło Stefana w siedzenie. Popatrzył przez okno na coraz szybciej znikające w tyle lampy wyznaczające pas startowy. Samolot podrygiwał i wibrował lekko na nierównościach. Wtem drgania ustały i odległość między ziemią a skrzydłami zaczęła się zwiększać.

Stefan poczuł pod nogami lekkie uderzenie. Zamknęli podwozie – pomyślał – lecimy. Teraz można tylko lecieć... i dolecieć albo... spaść...

Samolot wznosił się ostro, zataczając lekkie półkole. Zerknął na sąsiada, siedzącego nieruchomo z przymkniętymi oczami.

Chyba się nie boi... ? A może...?

Widział już w czasie lotów ludzi z zaciśniętymi szczękami i wyrazem paniki na twarzach. Rozumiał ten strach. Po wypadku na motorze i wielu miesiącach spędzonych w szpitalu długo obawiał się jazdy nawet autobusem. Gdzieś tam w głębi mózgu kiełkowała obawa przed szybkością, przeradzająca się w lęk nie do opanowania. Odreagował to dość brutalnie – wsiadł z powrotem na motocykl. Po kilku tygodniach strach zniknął na zawsze.

Zmiana w tonie silników przerwała mu rozmyślenia. Samolot przestał się wznosić, a ryk motorów przeszedł w jednostajny szum. Sąsiad nadal siedział bez ruchu. Stefan chciał zagadać i porozmawiać. Wahał się czy zrobić to po polsku, czy po angielsku.

Wygląda dość sympatycznie – stwierdził. – Może być miłym kompanem na te kilka godzin.

– Czy pan mówi po polsku or do you prefer English?

- Proszę mówić po polsku, jestem Polakiem.
- Miło mi to słyszeć. Ja też wolę po polsku. Pan z wizytą czy wraca pan do domu?
- Wracam, proszę pana, wracam od brata.
- Pierwszy raz w Stanach? – Stefan starał się podtrzymać rozmowę.
- Nie, już trzeci... i chyba ostatni – dodał po chwili milczenia. – Brat ma ponad 80 lat, a ja też nie jestem już młody. W każdym razie pożegnaliśmy się tak, jakby to było ostatnie spotkanie. Gdy któryś z nas odejdzie, kontakty między rodzinami chyba się urwą. Bratowa, której rodzice przyjechali z Polski jeszcze przed I wojną światową, mówi wprawdzie po polsku, ale nie utrzymuje kontaktów z rodziną w kraju... A dzieci brata to już stuprocentowi Amerykanie. Znają trochę język polski, ale ten daleki, niewielki kraj gdzieś w Europie – jak mówią – nie interesuje ich zbytnio.
- Muszę panu powiedzieć, że jest to dość typowe. Drugie pokolenie mówi jeszcze jako tako po polsku. Ale trzecie – już prawie nigdy. Jak długo brat jest w Stanach?
- Od pięćdziesiątego roku. Już ponad pół wieku.
- Wojenna emigracja?
- Tak. W czterdziestym drugim, jako osiemnastoletniego chłopaka Niemcy wywieźli go na roboty. Może miał trochę szczęścia, bo trafił do bauera. W Polsce nie wiadomo, jak to by się skończyło. Wielu jego kolegów nie przeżyło wojny, bo partyzantka, albo później ginęli na froncie. Pokolenie Kolumbów. Wie pan o czym mówię?
- Tak, oczywiście. Należę do pokolenia, które zaczytywało się książką Bratnego „Kolumbowie. Rocznik 20”.
- Na robotach brat trafił do bauera, który okazał się całkiem przyzwoitym człowiekiem. Mieszkał na jakimś stryszku – obory czy stodoły, ale przynajmniej nie chodził głodny. Można było wytrzymać. Mimo że gospodarz traktował go po ludzku, nigdy nie zaprosił do stołu. Istniał wyraźny podział: Niemcy – Herrenvolk i Arbeiters – hołota do roboty...
- przerwał na chwilę, jakby chciał przetrwać to, co przed chwilą powiedział. – Po wyzwoleniu brat pozostał w sektorze zachodnim, pod okupacją amerykańską. Niedługo potem zgłosił się na ochotnika do pracy w oddziałach wartowniczych. Były to jednostki paramilitarne, które Amerykanie tworzyli do pilnowania różnych obiektów, przeważnie jakichś magazynów. Swoich chłopców wysyłali już wtedy do domu.
- Brat nie chciał wracać do Polski?
- Nie bardzo. Wkrótce po wojnie dostaliśmy od niego list. Pisał, że

najpierw rozejrzy się po świecie, a później pomyśli o powrocie. Mama i ojciec, stary socjalista, który znalazł się znakomicie w nowej rzeczywistości, namawiali go gorąco do powrotu. Mama bardzo tęskniła, a dla ojca prawdopodobnie ważna była ideologia – chciał, żeby najstarszy syn włączył się w odbudowę kraju. Brat pracował u Amerykanów jako kierowca i zdaje się, że nieźle zarabiał na szmuglu między Belgią, Holandią i Niemcami. W tamtych czasach, jak mi opowiadał, można było mieć dziewczynę za parę pończoch, paczkę papierosów czy tabliczkę czekolady. Niech pan sobie wyobrazi: młody chłopak, pieniądze, dziewczyny, alkohol... Gdzie mu tam w głowie był powrót. Dobrze wiedział, jaka wówczas, tuż po wojnie, była w Polsce bieda.

– No tak, on miał wtedy dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa lata...

– Coś koło tego.

– A jak trafił do Stanów? – opowieść wyraźnie zainteresowała Stefana.

– Został kierowcą jakiegoś generała. Kiedy szefa awansowali i przenosili do Stanów, postarał się o papiery emigracyjne dla mojego brata – bardzo go polubił.

– Kiedy to było?

– W pięćdziesiątym roku i zaraz potem wstąpił na ochotnika do amerykańskiego wojska. Załatwił mnie przy tym paskudnie.

– Pana... ? Przecież pan był w Polsce.

– Właśnie! Byłem wtedy studentem. Brat przysłał nam list, że jako ochotnik jedzie na Koreę... Na wojnę w Korei – dodał wyjaśniająco. – Na wszelki wypadek zostawił testament. Miał jakąś tam sumkę pieniędzy i ubezpieczenie na życie. Napisał, że jeśli coś się z nim stanie, to żebyśmy wiedzieli... Ktoś w odpowiednim urzędzie ten list przeczytał, ktoś inny został powiadomiony i wyciągnął sprawę na zebraniu Związku Młodzieży Polskiej na uczelni. Pan jest w takim wieku, że powinien pan pamiętać, co to był ZMP? – popatrzył na Stefana, jakby szacując jego wiek.

– Oczywiście, że pamiętam.

– Na tym zebraniu zarzucono mi, że utrzymuję kontakty z wrogami socjalizmu. Wyleciałem z hukiem z uczelni. Zrobili ze mnie wroga ludu... Wroga klasowego.

Stefan uśmiechnął się. Znał dobrze to słownictwo.

– Pan się uśmiecha, ale proszę wierzyć, że nie było mi wówczas do śmiechu. Przecież ci dranie – przepraszam za określenie – załatwiłyby mnie na całe życie. Wielu z nich było moimi kolegami, niektórzy nawet przyjaciółmi, z tego samego roku, z tej samej grupy studenckiej –

przerwał i, wychylając się z fotela, popatrzył w tył samolotu. – Ale opowiem panu o tym później. Zdaje się, że jedna toaleta jest wolna. Skorzystam z okazji.

Stanął między siedzeniami, ściągnął kilkakrotnie ramiona, jakby chciał złączyć łopatki, potem podnosił na przemian nogi zgięte w kolanach. Spojrzał na Stefana i uśmiechnął się.

– Zasiedziałem się – powiedział przepraszająco.

Stefan odpowiedział uśmiechem i pokiwał głową ze zrozumieniem. Powiódł wzrokiem za oddalającym się rozmówcą, usadowił się wygodnie w fotelu i przymknął powieki.

Przełom lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Najgorszy stalinizm, plan 6-letni – pomyślał. – Byłem wtedy w przedszkolu. Tak, to był już ostatni rok przedszkola. Miałem siedem lat... Niewiele pamiętam...

Chapter 2

New Chapter

Rysiek i Stefan sprzeciali się o pociąg.

– Wczoraj ty miałeś! – denerwował się Rysiek.

– Nie, wczoraj to razem mieliśmy – argumentował Stefan, obejmując rękoma i przyciskając do piersi pociąg składający się z kilku zlepionych klocków.

W bocznych drzwiach ukazała się głowa kierowniczkii.

– Pani Aniu, proszę zebrać dzieci w dużym pokoju. Tylko starszaki – dodała.

– Dobrze. Niech mi pani da dziesięć minut.

– Bardzo proszę. Czekam – głowa kierowniczkii znikła za drzwiami.

Wychowawczynie klasnęła w dłonie:

– A teraz, dzieci, zbieramy zabawki i odkładamy je na miejsca.

Zebranie w dużym pokoju oznaczało coś ważnego, zwykle naukę śpiewania lub oficjalną wizytację. Zaciekawione przedszkolaki bez ociągania zaczęły zbierać zabawki i układać je na półkach, inne wrzucać do pudełek. Gdy już wszystko było w jako takim porządku, pani kazała dzieciom ustawić się parami. Wzięła za rączkę Basię, swoją pupilkę, i poprowadziła wszystkich przez jadalnię do dużej sali.

Pokój ten, zapewne niegdyś salon przedwojennego właściciela, znajdował się na tyłach willi. Prowadziło do niego dwoje drzwi. Jedne – szerokie, rozsuwane, prosto z jadalni. Drugie – solidne, z ciemnego drewna, służące dawniej do wprowadzania gości z holu. Naprzeciwko tych drzwi, na głównej ścianie, znajdował się ozdobny kominek, a nad nim portret Stalina udekorowany wieńcem z wplecionymi symbolami sierpa i młota. Widoczny z lewego półprofilu wódz wpatrywał się w niezmierną dal. Na bocznej ścianie, nad drzwiami do jadalni, wisiał orzeł z Bierutem i Rokossowskim po bokach.

Kiedy wszystkie starszaki znalazły się w dużym pokoju, kierowniczka poleciła wychowawczynie usadzić dzieci tak, by mogły widzieć równocześnie i Stalina, i portrety nad drzwiami do jadalni. Stała przed

przedszkolakami, podniosła wskazujący palec i przyłożyła do ust. Przepychanki o lepsze miejsce ustały i gwar natychmiast ucichł. Jeszcze tylko Rysiek przeciskał się do przodu, podciągając się na rękach i szorując pupą po podłodze, ale i on zastygł w miejscu, gdy pogroziła mu palcem.

Dzieci bały się kierowniczkii. Mogła w swym gabinecie postawić do kąta na całe godziny albo nawet wysłać winnego do domu po mamę. Zdarzyło się to Stefanowi po bójce z Ryśkiem. Posprzeczali się o jakąś zabawkę i tamten pierwszy kopnął. Nauczony przez starszego brata Stefan oddał prawym prostym w nos. Rysiek z krzykiem przykrył twarz obiema dłońmi, spod których zaczęły ściekać strużki krwi. Przedszkolanka podbiegła, odchyliła mu głowę do tyłu i przyłożyła chusteczkę do nosa.

Stefan stał obok ze spuszczoną głową.

– Ja nie chciałem! Ja wcale nie chciałem! – bąkał przestraszony.

Po chwili zjawiała się wezwana przez Basię kierowniczkii. Obejrzała Ryśkowi buzię. Upewniwszy się, że to nic groźnego, poleciła Stefanowi iść do domu i nie wracać bez matki. Ociągał się z ubieraniem. Potem wałęsał się po targowisku, zaglądał do rzeźni przez dziury w płocie i nad stawem rzucał kamieniami w ryby. Poszedł do domu dopiero wtedy, kiedy zobaczył Jolę wracającą z przedszkola.

Na drugi dzień przy wstawaniu z łóżka stękał, narzekał na ból głowy i brzucha. Zaniepokojona mama przyłożyła mu dłoń do czoła i na wszelki wypadek pożyczyła termometr od sąsiadki z pierwszego piętra.

– Gorączki to ty, Stefciu, nie masz – westchnęła z ulgą.

– Mamusiu, ale brzuch mnie boli. To na pewno ślepa kiszka! – krzywił się, przyciskając obydwie ręce do podbrzusza.

Stefan nie bardzo wiedział, co to jest ślepa kiszka, ale Maniek był na to w szpitalu cały tydzień. Później chwalił się, że miał narkozę i rozcinali mu brzuch.

Mama podciągnęła synowi górę pizamy, spuściła trochę spodnie i nacisnęła podbrzusze po lewej stronie.

– Tak, rzeczywiście wygląda, że masz brzuch trochę twardszy. Czy tu cię boli?

– O, tak, właśnie tu.

– Dziwne, bo ślepa kiszka jest tam! – kolnęła go palcem po prawej stronie brzucha. Posadziła syna na brzegu łóżka, uklękła przed nim i patrząc prosto w oczy spytała: – Dlaczego nie chcesz iść do przedszkola?

– Bo... – Stefan spuścił głowę – pani kierowniczkii kazała, żeby mama przyszła – wyszeptał.

– Dlaczego? Co się stało?

– Pobiłem Ryśka. Ale to było niechcący. Nie chciałem go tak mocno uderzyć – Stefan zerwał się z łóżka i rzucił mamie na szyję. – Mamusiu, ja naprawdę nie chciałem – szlochał.

– No dobrze, uspokój się. Dzisiaj posiedzisz w domu. Ja muszę wracać do rzeźnika, bo mnie nie wpuszczą z powrotem do kolejki. Nie po to wstawałam o trzeciej w nocy, żebyście nie mieli co jeść. Rzeźniczka powiedziała, że przywiozą dziś trochę więcej. Może dostanę kości na zupę i wołowe na rosół. Ubierz się i pobaw trochę w domu. Jestem trzecia w kolejce. Jak wcześniej rzucają towar, to niedługo wrócę.

Nazajutrz poszli do kierowniczkii. Za karę nie wolno było Stefanowi przychodzić do przedszkola przez trzy dni. Nadto, co gorsza, wysłuchał długiej reprimendy mamy i pouczeń ojca na temat bójek w ogóle, a bicia kolegów w szczególności.

Dzieci traktowały kierowniczkę przedszkola z respektem. Już sama groźba trafienia do jej gabinetu powodowała, że winowajca spuszczał głowę ze skruchą. Również tego dnia zebrane przed portretami przywódców maluchy reagowały na każde jej słowo.

– Kto wie, jakie mamy jutro święto? – rozglądała się po skupionych twarzyczkach dzieci. – No, kto?

Basia podniosła rękę.

– Proszę, Basiu.

– Pierwszy Maja, proszę pani.

– Bardzo dobrze. A kto wie, co to jest za święto i dlaczego je obchodzimy?

Tym razem nikt się do odpowiedzi nie wyrwał. Wszyscy siedzieli wpatrzeni w kierowniczkę.

Odczekawszy chwilę, podjęła wątek:

– Tata Ryśka jest murarzem i buduje domy. Tatuś Basi jest dyrektorem. Kieruje fabryką, jak ja kieruję przedszkolem. To jest nasza praca. A jutro mamy właśnie święto wszystkich ludzi, którzy pracują. Moje, tatusia Basi, taty Ryśka – rozglądała się po dzieciach. – A co robi twój tatuś, Jadziu?

– Kielbasy.

– Twój tatuś też pracuje i jutro będziemy obchodzić jego święto. No więc, dzieci, jakie jest jutro święto?

– Jutro jest święto wszystkich ludzi, którzy pracują – odpowiedziała Basia jednym tchem.

– Bardzo dobrze. A teraz wszystkie dzieci powtórzą razem: – JU-TRO-

JEST-ŚWIĘ-TO-LU-DZI-PRA-CY.

Dzieci zadowolone, że mogą sobie pokrzyczeć, powtórzyły skandowanie kilka razy. Kierowniczką z uśmiechem powstrzymała je podniesieniem ręki.

– A czy wiecie, kto jest na tym portrecie? – wskazała na Stalina.

Jedynie Basia wyciągnęła rękę i zamachała nią dla zwrócenia uwagi. Nie czekając na pozwolenie, wykrzyknęła: – Stalin!

– Towarzysz Stalin – poprawiła kierowniczką. – A kim jest towarzysz Stalin?

– Ojcem wszystkich dzieci – Basia znów była pierwsza.

– Ja mam własnego tatusia! – wyrwało się Stefanowi.

Kierowniczką spojrzała na chłopca, jakby zastanawiając się, co powiedzieć.

– Zgoda, ale towarzysz Stalin opiekuje się wszystkimi dziećmi i jest przywódcą wszystkich ludzi pracy. To tak, jakby był ojcem nas wszystkich... A kogo tu mamy na obrazku? – wskazała palcem na Bieruta.

– To jest prezydent... ? – tym razem Basia nie była tak pewna swego.

– Tak – przytaknęła kierowniczką. – To jest prezydent Polski.

A co robi prezydent? – odczekała chwilę, wodząc wzrokiem po twarzyczkach dzieci i, nie czekając na odpowiedź, mówiła dalej. – Prezydent kieruje całym krajem. Tatuś Basi kieruje fabryką, a prezydent rządzi Polską... Dzieci, kogo widzicie na tamtym portrecie?

– To Rokossowski. On może rozkazywać każdemu żołnierzowi. On jest marszałkiem i może nawet generałowi kazać coś zrobić, i wszyscy muszą mu salutować – wyklepał Stefan zadowolony, bo wreszcie mógł się popisać przed wszystkimi.

Nie tak dawno ojciec zabrał go na plac przed dworcem. Z okazji wizyty Rokossowskiego odbywała się tam parada miejscowego garnizonu. Obwieszony medalami marszałek podjechał na białym koniu i stanął przed frontem wyprężonych żołnierzy. Oficerowie podchodzili sprężystym krokiem, zatrzymywali się przed końskim łbem i, salutując, składali meldunki. Stefan siedział na ramionach ojca i mógł to wszystko oglądać z wysoka. Zadawał ojcu mnóstwo pytań i teraz chciał zaimponować swoją wiedzą.

– Bardzo dobrze, Stefek! – pochwaliła pani kierowniczką. – Konstanty Rokossowski jest wodzem całego wojska, a wojsko broni naszego kraju.

– I pobiło Niemców! – dodał Wacek, ten z zadziorem nad czołem.

– Tak, wojsko polskie pod wodzą marszałka Rokossowskiego pobiło

Niemców. A teraz wszystkie dzieci powtórzą za mną głośno: – STA–LIN, BIE–RUT, RO–KO–SSO–WSKI – skandowała, machając w takt ręką.

STA–LIN, BIE–RUT, RO–KO–SSO–WSKI! STA–LIN, BIE–RUT, RO–KO–SSO–WSKI! – wykrzykiwały dzieci zrazu bezładnie. Po kilku próbach tworzyły już zgodny chór. – STA–LIN, BIE–RUT, RO–KO–SSO–WSKI! – niosło się po całym przedszkolu.

Kiedy skandowanie brzmiało już wystarczająco harmonijnie, kierowniczka przerwała ćwiczenie.

– Jutro zatem jest Święto Pracy, ale wszystkie starszaki przychodzą do przedszkola. Na godzinę dziewiątą. Powiedz, Basiu, na którą godzinę starszaki przychodzą jutro do przedszkola?

– Na dziewiątą, proszę pani.

– Powtórzmy wszyscy: na dzie-wią-tą.

– Na dzie-wią-tą – zawołały chórem dzieci.

Zarówno rodzicom, którzy przyszedli po dzieci, jak i przedszkolakom wracającym bez opieki rozdano karteczki z odpowiednią informacją.

Rano przed przedszkolem stały dwa traktory z przyczepami. Dla ochrony przed wypadnięciem do burt przybito dodatkowe bariery z desek. Wystrojone starszaki zgromadziły się w dużym pokoju. Kierowniczka ubrana była w ciemną spódniczkę i białą bluzeczkę z czerwonym krawatem, luźno zawiązanym pod szyją. Jeszcze raz przećwiczyli: STA–LIN, BIE–RUT, RO–KO–SSO–WSKI. Kiedy skandowanie wychodziło już jako tako składnie, ustawiono dzieci w pary i wyprowadzono do traktorów. Opuszczone klapy przyczep miały dostawione drabinki. Przy każdej z nich dwie wychowawczynie, również ubrane w ciemne spódniczki i białe bluzki z czerwonymi krawatami, pomagały dzieciom wejść na przyczepę. Poprzecznie mocowane deski służyły jako ławki.

Kręcąc głową na znak, że nie potrzebuje pomocy, Stefan wspiał się na górę sam. Starał się zająć miejsce z brzegu i po zwycięskiej przepychance z dziewczynami zadowolony usiadł z łokciem opartym o burłę.

Dzień był piękny, od rana pogodny i ciepły. Świeża zieleń łagodziła kontury burych i ciemnoceglastych budynków przemysłowego miasta. Częściowo skrywała lizaje większych dziur po pociskach. Wypełnione nowszą cegłą ostro rysowały się na tle szarych tynków. Prawie wszystkie domy pokryte były ospowatymi śladami po kulach.

Traktory ruszyły. Do przejechania mieli trochę ponad kilometr, do końca głównej ulicy. Trasa pochodu wiodła tą samą drogą w odwrotnym kierunku, obok głównej trybuny ustawionej naprzeciwko dworca i kończyła się około ćwierć kilometra dalej, przy przedszkolu.

Stefan patrzył ciekawie na gromadzące się tłumy – rodziny z maleństwami w głębokich wózkach i trochę starszymi w wózkach spacerowych. Niektórzy ojcowie nieśli dzieci na barana, inne prowadzili, trzymając za ręce... Wyróżniały się grupy robotników w kombinezonach, młodzieży w sportowych kostiumach, pielęgniarek w białych fartuchach i czepkach. Nad głowami wszystkich unosił się las zwiniętych jeszcze sztandarów i transparentów.

Stefan znał już wszystkie litery. Z satysfakcją odczytywał litery MO na drzwiach ciężarówek i łazików stojących w bocznych ulicach. Ze zdziwieniem zauważył, że kręcący się przy pojazdach milicjanci zamiast czapek mieli hełmy. Na jednej z bocznych ulic spostrzegł niekończącą się kolumnę ciężarówek, armat, czołgów i innych pojazdów, których nie umiał nazwać. Trochę żałował, że w tym roku nie zobaczy przemarszu kolumny wojskowej. Lubił zwłaszcza tę część parady. Patrzył z podziwem na wyprężonych żołnierzy, siedzących na ciężarówkach i armatach, którzy jednocześnie, jak za pociągnięciem sznurka, zwracali głowy w stronę trybuny. Jednak największe wrażenie zawsze robiły na nim czołgi przetaczające się z hukiem po ulicznej kostce.

Traktory zatrzymały się na końcu ulicy. Mężczyźni z opaskami na rękawach wskazali kierowcom miejsca postoju. Mieli tu czekać na rozpoczęcie pochodu.

Stali dość długo. Dzieci zaczęły już marudzić – jedne chciały pić, inne siusi. Wreszcie dotarła do nich informacja: zaraz ruszają! Wychowawczynie rozdały dzieciom czerwone chorągiewki. Pokazały, jak trzeba nimi machać. Z wysokości przyczepy Stefan patrzył jak oczarowany na transparenty i sztandary rozwijające się przed nim niczym wzorzysty dywan.

Traktory z przedszkolakami poprzedzała ciężarówka z opuszczonymi klapami. Na platformie jechała olbrzymia kukła umocowana linami. Ubiór i cylinder miała pomalowane w biało-niebieskie pionowe pasy. W jednej ręce trzymała bombę z wymalowaną literą A, w drugiej worek z przekreśloną dwa razy dużą literą S. Stefan próbował odczytać napis na klapie. „T-R-U-M-A-N” – literował – „P-O-D-Ż-E-G-A-C-Z”. Nie wiedział, co to znaczy. „W-O-J-E-N-N-Y” – zrozumiał już bez trudu.

Tłum gęstniał. Ludzie pozdrawiali ich podniesieniem ręki, a oni odpowiadali wymachiwaniem chorągiewkami. Wszędzie widać było uśmiechnięte i rozradowane twarze. Z olbrzymich głośników rozstawionych po obu stronach ulicy dochodziły do Stefana entuzjastyczne słowa odbijane echem od kamienic i nakładające się na siebie. Tworzyło to

niezrozumiały bełkot. Dopiero w pobliżu trybuny Stefan mógł rozróżnić: „PRZYSZŁOŚĆ NARODU”.

Kierowniczką dała znak opiekunce w drugiej przyczepie.

– A teraz, dzieci, uwaga! Pamiętajcie: STA-LIN, BIE-RUT, RO-KO-SSOW-SKI! Uwaga! Trzy-cztery!

– STA-LIN, BIE-RUT, RO-KO-SSOW-SKI! STA-LIN, BIE-RUT, RO-KO-SSOW-SKI!... – skandowały dzieci.

Szczególnie serdecznymi uśmiechami i gestami rąk witali ich stojący na trybunie. Najważniejszy, stojący pośrodku w pierwszym rzędzie, pozdrawiał jadących, wymachując rytmicznie kapeluszem

i otwierając usta w takt skandowania. Okrzyki stawały się coraz bardziej wyraziste. Wreszcie wzmocnione przez głośniki, podjęte przez tłum na ulicy, odbite echem od pobliskich domów unosiły się nad miastem...

„STA-LIN, BIE-RUT, RO-KO-SSOW-SKI! STA-LIN, BIE-RUT, RO-KO-SSOW-SKI!... ”

Chapter 3

New Chapter

Oparcie pod plecami Stefana drgnęło. Obrócił głowę. Ujrzał sadowiącego się sąsiada. Dla korpulentnego pasażera było tu stanowczo za ciasno.

– Przepraszam. Zdaje się, że pana obudziłem...

– O, nie! Nie spałem. Zamyśliłem się tylko. Wróciły przeżycia... Przełom lat czterdziestych, pięćdziesiątych... Miałem wówczas siedem lat. Chodziłem do przedszkola, zaczynałem podstawówkę. Przypomniałem sobie pochody pierwszomajowe, powszechny entuzjazm... W tych dziecięcych wspomnieniach pozostał mi obraz narodu, który wierzył w tamtą rzeczywistość. Przeciwników socjalizmu, o ile można tak nazwać ten ustrój, było wówczas chyba niewielu. Nawet jeśli dziesiątki tysięcy, sto tysięcy... to tylko promile. Góra, kilka procent...

– Ależ! Kilka procent? Bzdury! A sfalszowane wybory?

– Nikt tego nie kwestionuje. Faktem było szykanowanie opozycji, aresztowania, a nawet zabójstwa. Ale chłopcy z lasu też nosili broń nie od parady.

– Sarkazm?

– Wspomniał pan o fałszowaniu wyborów. Truizmy! Nie ma jednak pełnych, sprawdzonych danych... Poza tym kandydatury dotyczyły PPS, czyli też lewicy.

– Bo innych partii nie dopuścili.

– Jednych nie dopuścili, inne były słabe. PPS rozbita. Część połączyła się z komunistami. Wielu pepeesowców trafiło do rządu i miało się tam całkiem dobrze. Ale to pan przecież wie.

– Nie chcę pana posądzać o złośliwość, ale...

– Nie.. nie... przepraszam. Nie przyszło mi do głowy, że może pan to tak odebrać... Oczywiście, rozpatrując sytuację w Polsce, trzeba brać pod uwagę resztę Europy. We Francji, Włoszech, Grecji komuniści zyskiwali ponad 40% głosów. Wielu czołowych tak zwanych intelektualistów pielgrzymowało do Moskwy, głosząc peany na cześć Stalina i jego zbirów. Proszę pana, oni nie mogli nie wiedzieć o zbrodniach! W tym była jakaś

fascynacja, zamulenie mózgów... ! Nasze stare kroniki filmowe pokazują pochody, pełne entuzjazmu twarze. Niektóre z nich są dziś ikonami prawicy. To są fakty. Proszę wybaczyć szczerłość, ale zdumiewa mnie, że powojenna fascynacja komunizmem nad Wisłą jest szokiem dla wielu Polaków. Może trochę przesadzam, ale wciąż nie mogę się z tym pogodzić

i wielu spraw zrozumieć.

Stefan zdawał sobie sprawę, że ta rozmowa prawdopodobnie nie ma sensu i że nie usłyszy od rozmówcy niczego nowego, jednak ekscytacja brała nad nim górę.

– Wiem, wygłaszam banały, lecz jak ich nie głosić? Nie jestem zwolennikiem komuny. Usiłuję tylko pojąć Polskę z perspektywy wydarzeń ostatnich kilkunastu lat i przyznam, że mam więcej pytań, niż znajduję odpowiedzi... Chociażby „Zniewolony umysł” Miłosza... Pisarze – sumienie narodu – powinni byli wiedzieć! O Katyniu, łagrach, czystkach, ludożerstwie na Ukrainie. A ilu pisało ody do Stalina! Później ci sami ludzie dokonywali ideologicznych zwrotów o 180 stopni. Wcale nie mam na myśli jednostek! Niech pan powie – to oportunizm czy tylko uzasadniona zmiana poglądów? Im się dziwię, nie ludziom, których pamiętam rozentuzjasmowanych podczas pochodów. Wielu z nich to byli chłopci, dla których już samo przeniesienie się do miasta oznaczało ogromny awans społeczny i materialny.

– No, teraz pan mówi, jak lektor na zebraniu partyjnym.

– Wszelkimi sposobami próbuję tylko dotrzeć chociaż do substytutu prawdy. Nie jest to łatwe, bo przedtem komuniści dorabiali historię do ideologii, a teraz dopasowuje się ideologię do historii.

– Nie bardzo rozumiem.

– Komuniści uznawali i ogłaszali tylko fakty zgodne z oficjalną ideologią. Jeśli fakty im nie odpowiadały, tym gorzej dla faktów.

– Jasna sprawa.

– Więc się zgadzamy. A niech pan zobaczy, jak jest teraz: faktom, które w dzisiejszej rzeczywistości już trudniej zmienić, nadaje się pożądanym wydźwięk ideologiczny, interpretację w zależności od koniunktury. Wie pan, może się mylę, ale czasami odnoszę wrażenie, że na przykład film dokumentalny jest dzisiaj bardziej zakłamany, niż był za komuny.

– Ależ! Chyba pan jednak przesadza?!

– Nie jestem tego taki pewny i nie wiem, dlaczego tak się dzieje. Widzi pan, w komunizmie było bardzo łatwo odróżnić plewy od ziarna. Na wulgarną propagandę po prostu wzruszało się ramionami. Spora grupa

twórców w ramach istniejących możliwości starała się przemyścić choćby cząstkę prawdy. To, co pokazuje się dzisiaj, jest zafałszowaniem ubranym w szaty prawdy. Wydaje mi się, że polega to na przedstawianiu tamtych czasów w formie samych negatywów. My pamiętamy tamtą rzeczywistość i każdy z nas ma jakiś jej obraz. Były sprawy głupie, wstętnie, paskudne, odrażające – tego nikt nie neguje. Ale myśmy również chodzili do szkoły, kochali się, pili pierwsze alkohole, palili pierwsze papierosy, studiowali, chodzili do klubów, oglądali filmy w DKF, chodzili do teatru, uganiali się za książkami, których wydania zawsze były za małe, nie licząc oczywiście propagandowego chłamu. Czyżbyśmy już zapomnieli, że polski teatr, to była ścisła czołówka światowa, a polskie kino też poszło w świat...? A polska plastyka, a zwłaszcza plakat...? A polska muzyka klasyczna, jazz... Prawdopodobnie potrafiłby pan wymienić kilka nazwisk w każdej z tych dziedzin, ale będą to przeważnie emeryci. Przeważnie, bo zdarzają się wyjątki. I niech mi pan nie mówi, że to nostalgii starszego pana, bo jeszcze potrafię patrzeć, czytać

i oceniać... Może pan oczywiście powiedzieć, że to są koszty transformacji i wolności. Tak. Zgadza się z panem. Chodzi mi jednak o to, żeby patrząc na świat, starać się widzieć w miarę cały obraz, a nie tylko okrojony kawałek widziany przez lupę obowiązujących prawd i ideologii.

– Niech pan weźmie choćby rok 56... Przepraszam, zaschło mi w gardle. Może poprosimy coś do picia – Stefan poczuł znużenie.

– Podają jedzenie – zauważył sąsiad. – Ciekawe, jakie.

Zajęci rozmową nie dostrzegli zbliżającej się stewardesy z wózkiem.

– Tak, zaraz powinniśmy coś dostać. Wspomniałem rok 56., ale pewnie dokończymy tę rozmowę po posiłku.

Chapter 4

New Chapter

Pociąg zatrzymał się na przedmieściu jakiegoś miasta. Zaczynało zmierzchać. W podróży z Wybrzeża byli już prawie dziesięć godzin. W nocy mieli dotrzeć do Zielonej Góry, a nad ranem do stacji docelowej.

Stefan jechał na kolonie nie pierwszy raz. Lubił je. Były dla niego jedyną okazją do wyrwania się z miasta, doświadczenia czegoś nowego, poznania innej części kraju.

Do przedziału wszedł Piotrek, kolega z zeszłorocznych wakacji, swój chłop! Jeszcze na dworcu Stefan ucieszył się szczerze, kiedy tylko go dostrzegł.

– Słuchaj, Stefan, masz fajki? Mnie mama pilnowała, nie mogłem kupić. To, co miałem, już wypaliłem.

– U mnie też krucho. Mogę ci dać połówkę – Stefan wyciągnął zmietoszoną paczkę sportów. Wyjął jednego i starannie przełamał na pół.

– Ty, Frajer – zwrócił się do chłopaka będącego na oko w tym samym wieku, siedzącego naprzeciwko – wyjdź na korytarz i pofiluj! Jak zobaczysz kogoś ze starych, zapukaj... jeśli będzie szedł w naszą stronę – dodał dla jasności.

Stefan otworzył okno. Wręczył połówkę Piotrkowi. Swoją osadził w szklanej lufce. Oszczędzał papierosy, a w lufce można było wypalić niemal do końca. Palce też mniej żółkły choć i tak musiał co kilka dni ścierać opuszki kamieniem lub cegłą.

– Gdzie jesteśmy? – starał się wydmuchiwać dym za okno.

– Stary powiedział, że pod Poznaniem.

– Nie wiesz, dlaczego stoimy?

– Nie wiem. Nikt nie wie.

Frajer zapukał w szybę.

– Fajki! – Stefan trącił Piotrka w ramię. – Ktoś idzie!

Bez żalu wyrzucili niemal do końca wypalone pety. Rękoma próbowali rozgonić dym. Frajer ceremonialnie rozsunął drzwi przed jednym z

opiekunów, prawdopodobnie kolonijnym wychowawcą. Miał dwadzieścia parę lat i wysportowaną sylwetkę. Sprawiał dość sympatyczne wrażenie.

– Chłopaki, widziałem dym! Buchał z okna. Waszego. To pożar? Coś się pali?

– U nas? – w głosie Stefana zabrzmiało przesadne zdumienie. – Tu nic się nie pali. Może w następnym przedziale?

– Ej, ty, cwaniak! – opiekun pogroził palcem. – Jeśli któregoś złapię na paleniu z maluchami, to nogi z tyłka powyrywam. Zrozumiano?

– Jasne – mruknął Piotrek.

Zza pleców wychowawcy wychylił się Frajer.

– Proszę pana, dlaczego stoimy?

– Musieliśmy przepuścić wojskowe transporty. Odstawili nas na boczny tor. Blokowaliśmy drogę, zaraz ruszymy... Przynajmniej tak mi powiedziano – dodał na odchodnym.

Piotrek wyszedł zaraz za nim. Stefan został z Frajerem. Inni współpasażerowie, wszyscy młodszy wiekiem, już wcześniej rozpełzli się po wagonie.

– Słuchaj, jak ty właściwie masz na imię?

– Witek.

– Będziemy w jednej grupie?

– Chyba tak – wzruszył obojętnie ramionami.

– Do której szkoły chodzisz?

– Do Jedyńki.

Frajerem to on pewnie nie jest... – Stefan przypatrywał się chłopcu. – Na korytarzu zachował się dość przytomnie.

Pociąg ruszył, lecz nie nabierał szybkości. Na dworze ściemniło się na dobre. Odbite światło tworzyło z okna przyciemnione lustro, przez które przebijał się blask ulicznych lamp i nielicznych okien mijanych domów. Przejeżdżali przez jakieś przedmieścia. Po kilkunastu minutach tory zaczęły się rozwidlać i wjechali na dworzec. Poznań!

Zatrzymali się przy peronie pierwszym. Przed budynkiem dworca co kilkanaście metrów stał uzbrojony żołnierz w polowym mundurze. Milicjanci przechadzali się dwójkami, z rękoma dość demonstracyjnie opartymi na pistoletach maszynowych zawieszonych na piersiach.

– Co się, do cholery, dzieje? – Stefan zdawał sobie sprawę z tego, że jest to pytanie, na które nikt mu nie odpowie.

Zjawił się opiekun, ten sam, co uprzednio.

– Chłopaki! Pod żadnym pozorem nie wolno wam opuszczać wagonu! Kto wyjdzie na zewnątrz, będzie aresztowany. Ja nie biore

odpowiedzialności... ! Zrozumiano?

– Ale co się dzieje, proszę pana? – spytał Witek.

– Jakież rozruchy w mieście, tylko tyle wiem. Chłopcy, jeszcze raz was proszę, nie wychodźcie z pociągu!

Wychowawca wyglądał na mocno zdenerwowanego. Zaraz po jego wyjściu wpadł do przedziału Piotrek. – Słyszeliście? Podobno w mieście strzelają!

– Nic! Tu cisza!

– Daj jeszcze zafajczyć.

Stefan wyciągnął papierosa. Przełamał go starannie. Zgasili światło i otworzyli okno.

– Witek, ty nie palisz. Popilnuj...

Młodzi chłopcy przysłuchiwali się rozmowie.

– Co jest?! Wojna?

– Chyba nie. Byłyby bombardowania i zaciemnienie. Jeden mówił, że to pewnie jacyś dywersanci.

Ich uszu dobiegła daleka seria, potem kilka pojedynczych puknięć.

– Słyszałeś?

– Tak.

– To strzały?

– Cicho... !

Ci na peronie też nasłuchiwali. Jednak z miasta nie docierały już żadne odgłosy. Milicjanci wrócili do przerwanych czynności. Zatrzymywali napotkanych przechodzących. Podczas gdy jeden prosił o dokumenty i sprawdzał je dokładnie, drugi obserwował sytuację z pewnego oddalenia.

– Ubezpiecza – zauważył Witek.

Peron pustoszał. Ludzie znikali jeden po drugim w budynku dworca. Żołnierze lustrowali wzrokiem pociąg. Stefan próbował zagadnąć stojącego najbliżej, ale ten nie reagował na zaczepki.

– KBW? – szepnął Piotrek.

– Nie wiem, nie mają czapek. KBW ma niebieskie otoki.

Wypalili papierosy i dalej wyglądali przez okno.

– Pójdę do siebie. Cześć, chłopaki – ziewnął Piotrek.

– Poczekaj! Patrz!

Z budynku dworca wybiegł młody mężczyzna. Spod głęboko naciągniętego beretu wysuwał się bandaż, opasujący głowę. Zatrzymał się gwałtownie na środku peronu, machając rękoma dla złapania równowagi. Rozejrzał się i skoczył do najbliższego wagonu. Kilka razy szarpnął bezskutecznie zamknięte drzwi, odwrócił się i zaczął biec z powrotem w

kierunku wejścia do budynku. Kiedy był już prawie w drzwiach, drogę zagroził mu milicjant. Szamotali się przez moment. Najbliżej stojący milicjanci podbiegli na pomoc koledze. Szarpali się teraz we czwórkę. Mężczyzna nie dawał za wygraną

i wciąż usiłował się wyrwać. Jeden z milicjantów podniósł pistolet maszynowy i drewnianą kolbą uderzył go z rozmachem w tył głowy. Nogi mężczyzny ugięły się, ale nie upadł. Milicjanci złapali go pod ramiona i wciągnęli do wnętrza budynku.

– Widziałeś? – w głosie Stefana brzmiało podniecenie.

– Tak.

– Chyba mu czachy nie rozwalili?

– Chyba nie. Beret i bandaż złagodziły trochę uderzenie.

– Kto to mógł być?

– Cholera wie! Może jakiś bandzior?

– Nie ma się kogo spytać. Te pacany – wskazał na żołnierza, którego próbował wcześniej zagadnąć – nie odpowiadają.

Wyglądali przez okno, ale na dworcu nic się nie działo, jakby wydarzenia, którego przed chwilą byli świadkami, w ogóle nie było.

– Pójdę do starego. Może się czegoś dowiem. Wątpię, czy coś powie, ale spróbuję. Gdybym się coś dowiedział, to przyjdę jeszcze. Cześć! Do jutra!

– dorzucił, zamykając drzwi.

Stefan z mozołem pootwierał oparcia. Teraz można było leżeć – zyskali sześć miejsc na ośmiu chłopaków. Sprzeczce o miejsca zapobiegł, rozdzielając je wspólnie z Witkiem. Jednego położyli na podłodze, dwóch najmniejszych na jednej ławce nogami do siebie. Większym chłopcom przydzielili drugie siedzenie i podniesione oparcia. Wszyscy podkładali coś pod głowy – plecaki, zwinięte ręczniki, ubrania.

Sami wybrali drewniane półki pod sufitem. Przypięli się do mocowań paskami od spodni. Nie było to wygodne, lecz zabezpieczało przed spadnięciem. Stefan jeszcze przez jakiś czas obserwował wyludniony peron. Wreszcie znużony emocjami usnął z głową na zwiniętej kurtce i zgiętym ramieniu. Budził się, ilekroć chciał zmienić pozycję. Zaciągnięty pasek uniemożliwiał swobodniejsze ruchy.

Ranek przywitał go szarpnięciem pociągu. Właśnie mijali koniec peronu.

Dopiero po powrocie z kolonii dowiedział się od kumpli

i z rozmów dorosłych, że w Poznaniu zginęli ludzie, że byli ranni – robotnicy protestowali przeciwko nędzy.

Chapter 5

New Chapter

– Do you want beef or chicken? – wyrwało go z zamyślenia. Nie wiedział, że jest adresatem tych słów.

– Sir!

Odwrócił głowę.

– Beef, please. Czy ma pani coś do picia?

– A na co ma pan ochotę?

– Kawę, jeśli można.

– Kawę podamy później. Teraz mogę podać soki, wodę...

– Woda would be O.K. – uświadomił sobie, że znów miesza języki. – Niech będzie woda – poprawił się z uśmiechem.

– Bardzo proszę – oddała uśmiech, podając tackę z jedzeniem i plastikową szklaneczkę.

W milczeniu jedli standardowe porcje.

Co się stało z kuchnią LOT-u? – dociekał Stefan. – Standaryzacja, obcinanie kosztów, kapitalizm. Ktoś zaczął liczyć. Money, money, money... !

Zgłodniał. Dojazd do Chicago, czekanie na lotnisku. Lecieli już też chyba ponad godzinę. Zjedzony posiłek powinien zaspokoić głód. Wiedział zresztą, że przed lotem nie można się objadać. Ma to jakiś związek z ciśnieniem i modnym ostatnio zagrożeniem skrzepami. Kiedyś słyszał też stewardesę, która z zażenowaniem opowiadała w radio, jak pasażerowie niezbyt ładnie pachną. Zmniejszone ciśnienie w samolocie w połączeniu z ewentualnym nadciśnieniem w organizmie powoduje wydobywanie się gazów. Czysta fizyka.

Znakomity temat do rozważań przy jedzeniu – uśmiechnął się do siebie.

Zjadł z apetytem wszystko prócz słodkości. Te mógł sobie darować, zważywszy normalną w jego wieku nadwagę. Stewardesy roznosiły ciepłe napoje. Poprosił o kawę i spojrzał na sąsiada, który też kończył jeść.

– Przepraszam... jak ma pan na imię? Może będzie nam łatwiej rozmawiać... – zaraz też pomyślał, że postąpił niezręcznie. Przecież

tamten jest Polakiem. Pomyśli, że to zbyt duża poufałość. – Mam na imię Stefan. Proszę mi mówić: „panie Stefanie”. Będzie przyjemniej... – brnął.

– Ależ oczywiście! Znam ten amerykański zwyczaj. Też sędzę, że ułatwia to kontakty i nie godzi w niczyj prestiż. Zresztą i w Polsce jest to coraz powszechniejsze zachowanie. Jestem Roman – wyciągnął rękę.

– Bardzo mi miło, panie Romanie. Mówiąc o relegowaniu z uczelni, wspomniał pan, że zmarnowałoby życie... A co ze studiami?

– Zmienili karę na okresowe zawieszenie w prawach studenta. Po roku wróciłem na uczelnię. Przez ten czas popracowałem jako pomocnik murarza przy odbudowie naszej ukochanej stolicy i re-soc-ja-li-zo-wa-łem się. Zostałem uświadomiony klasowo. Klasa robotnicza przygarnęła mnie do łona i twardą ręką uczyła szanować swoje zdobycze, swoją przewodnią rolę w sojuszu z pracującym chłopstwem.

– Ten język mało się zmieniał. Pozostał prawie taki sam do mego wyjazdu z kraju za późnego Gierka... Zaraz, zaraz!... panie Romanie, czyżby relegowanie zmienili panu na zawieszenie ot, tak sobie, na piękne oczy? Przepraszam, coś mi tu nie gra. Coś musiało się stać? Miał pan... jakieś możliwości, układy... ?

– Odwoływałem się do rektora, do organizacji partyjnej. Lecz tak naprawdę zadziałały znajomości ojca. Po zjednoczeniu PPR z PPS sporo jego kolegów znalazło się wysoko u władzy. Przez kogoś miał dojście nawet do Cyrankiewicza. Ojciec nie mówił, do kogo się zwracał. W każdym razie partia stwierdziła, że relegacja to za dużo. Zostałem ukarany tylko za zatajenie brata w Stanach. Nie mogli mi całkiem darować, bo podważyliby autorytet organizacji młodzieżowej. A tak to sekretarz ZMP dostał pochwałę za czujność rewolucyjną i sprawa ucichła.

– Udało się panu. Jednak nie wszyscy mieli ważnych tatusiów.

– Zgadza się. Ale co? Miałem powiedzieć ojcu, że nie, dziękuję bardzo, nie skorzystam z takiej pomocy? Pięknie by było, moralnie, lecz życie jest, jakie jest! Wtedy nawet nie myślałem o aspekcie moralnym. Po prostu byłem szczęśliwy, że wracam na uczelnię.

– I do partii pan wstąpił...

– Niech pan nie będzie złośliwy. Wiadomo, że bez partii było trudno o jakąkolwiek karierę.

– Więc wstąpił pan do partii?

– Tak, w 56. W innych czasach. Wierzyliśmy, że nastąpią zmiany, że to pójdzie w innym kierunku.

Stefan zamyślił się.

Chapter 6

New Chapter

Siedział przy stole w pokoju i odrabiał lekcje.

Co w tym zachwycającego? Nudne! Akcja do niczego. Miłość żadna. Przyroda byle jaka... Trzeba przez to jakoś przebrnąć. Wykuć inwokację. I jeszcze coś, jakiś fragment... Lipka nie daruje. Zaraz wyczuje, kto nie zna... – kartkował bez przekonania „Pana Tadeusza”.

Wybrał „Koncert Wojskiego”. Wydawał się najbardziej... – nie umiał dobrać określenia, lecz mówił te strofy z przyjemnością. Słyszał niedawno aktora, który recytował „Koncert”. Nie podobała mu się monotonia w interpretacji, nieokreślone nudziarstwo. Dla niego róg był bardzo długi i podczas deklamacji podkreślał to, przeciągając wyraz. Róg był zarazem kręty, więc wyraz też powinien się skrecać. Gdy szczerwacze umilkli zaskiwieni, usłyszawszy róg, to należało się wyciszyć i nadśłuchiwać.

Ten kawałek jest nawet niezły – pomyślał.

Znał go już na pamięć, lecz na wszelki wypadek postanowił jeszcze raz powtórzyć. Z przedpokoju doszło przytłumione pukanie i skrzypnięcie drzwi.

– Dzień dobry pani. Jest Stefan?

– Lekcje odrabia... Stefek, nigdzie nie pójdziesz, zanim nie odrobisz lekcji – uprzedziła głośno matka zajęta czymś w kuchni.

– Właśnie skończyłem. Wchodź, Rysiek.

Kolega był wyraźnie podniecony.

– Słyszałeś, co się dzieje?

– Co?

– Na Placu Czerwonym podobno jest jakaś rozróżba. Ludzie, milicja. Mogą się bić. Lecimy?

Stefan spakował do teczek potrzebne zeszyty i książki, inne rzucił na okno.

– Pewnie, że lecimy.

Plac Czerwony był rozległą przestrzenią w środku miasta, pamiątką po zburzonych w czasie wojny domach. Ubity drobny ceglany gruz

nadawał powierzchni czerwony kolor, od którego prawdopodobnie pochodziła nazwa. Chłopcy nie byli jednak pewni. Niektórzy uważali, że plac nazwano na cześć moskiewskiej Krasnoj Płoszczi. Nikt nie zwracał na to uwagi. Byli przyzwyczajeni, że w świecie, który ich otaczał, coraz więcej pojęć było kopiami rzeczywistości Związku Radzieckiego. Kiedy na lekcjach mówiono im, że radio wynalazł radziecki uczeń, dowiadywali się w jakiś sposób, że naprawdę, to pierwsze radio zbudował Włoch Marconi. Po lekcjach biologii o Miczurinie dyskutowali zawzięcie czy gruszki mogą wyrosnąć na jabłoni, a opowieści propagandy i nauczycieli o przodującej technice radzieckiej zbywali wzruszeniem ramion. Widzieli przecież samochody i motocykle pozostawione przez Niemców

i w jakiej cenie były zegarki zachodnich marek.

Stefan dobrze znał okolice Placu Czerwonego. Niedaleko, w gmachu starego ratusza mieściła się biblioteka publiczna. W ostatnich latach odbywały się tu również wszystkie zgromadzenia i demonstracje.

– Mamo, wychodzę – krzyknął w stronę otwartych drzwi kuchni.

– Dokąd?

Nie zdążył odpowiedzieć, byli już na schodach. Szybko przeskakiwali po kilka stopni.

Przystanek tramwajowy był o krok, po drugiej stronie ulicy, na skos od kamienicy Stefka.

– Co się właściwie dzieje? – Stefan wypatrywał tramwaju.

– Dokładnie nie wiem. Jakiś Gomułka wyszedł z ciupy i chce robić rewolucję. Wolna Europa mówi, że pod Warszawą są ruskie czołgi. Wojna się znów szykuje czy co?

– Przecież Ruskie to nasi przyjaciele.

– No tak, ale Polska chce się oderwać od nich.

– Pieprzysz. A Niemcy?

– Nie wiem. Ludzie tak mówią.

Czekali na tramwaj sami. Wydawało im się to dziwne o tej porze dnia, w niedzielę.

– Jak będzie wojna, to ja uciekam do partyzantki – zdecydował Rysiek po namyśle. – Do wojska nas nie przyjmą. Za mali jesteśmy. Na ochotnika przyjmują dopiero od szesnastu lat.

– Ja też bym chyba poszedł, ale nie wiem, czy nas zechcą.

– To założymy własny oddział. Zaciukamy jakiegoś Ruska, zdobędziemy broń, potem będzie już łatwiej o następną.

Tramwaj nie nadjeżdżał, a na przystanku nie pojawił się nikt nowy.

– Tramwaje nie chodzą – krzyknął jakiś mężczyzna na rowerze.

– Dlaczego?

Mężczyzna machnął ręką i popedałował dalej.

– Lecimy?

– Lecimy!

Biegli rytmem długodystansowców. Po pokonaniu ponad połowy trasy musieli się zatrzymać. Dyszeli ciężko, opierając ręce o kolana. Został jeszcze niecały kilometr. Dzień, jak na październik, był dość pogodny. Nie mieli cięższych ubrań. Stefan poczuł chłód od mokrej koszuli pod swetrem.

Odzyskawszy w miarę równy oddech, ruszyli. Opodal placu dosięgła ich „Międzynarodówka” śpiewana przez tłum. Odróżniali słowa, tak dobrze znane z lekcji śpiewu i uroczystości szkolnych:

Wyklęty powstań ludu ziemi,
Powstańcie, których dręczy głód...

Gdy dotarli na miejsce, już było po śpiewie. Dokoła placu na metalowych stojakach rozmieszczono wielkie głośniki. Dochodzący z różnych stron pogłos zniekształcał wypowiedane słowa.

– Nic nie widać! Chodźmy bliżej trybuny – Rysiek zaczął się przepychać pierwszy. Zajęci przeciskaniem się przez zwarty tłum niemal samych mężczyzn nie mogli się skupić na treści przemówienia. Docierały do nich tylko poszczególne słowa: stalinizm, socjalizm, klasa robotnicza, partia... Dotarli wreszcie pod samą trybunę. Był nią samochód ciężarowy z opuszczonymi burtami. Przed mikrofonami stał mężczyzna w średnim wieku, ubrany w luźny płaszcz niemal do kostek.

– ... towarzysz Gomułka siedział w więzieniu. A za co? Za to, że był komunistą-Polakiem. Za kratki wsadzili go staliniści, bo upominał się o robotników i chłopów. Bo nie sprzeniewierzył się ideałom komunisty. Uwięzili towarzysza Gomułkę ci, którzy zapomnieli, że socjalizm miał stworzyć lepsze warunki życia klasie robotniczej, że to robotnicy mieli trzymać stery kraju we własnych, robociarskich rękach.

– Spieprzajcie stąd, ale już!

Nad Stefanem pochylił się młody, dobrze zbudowany mężczyzna.

– Czego pan chce? Przecież nic nie robimy!

– Spieprzaj, bo oberwiesz.

Stefan poczuł bolesne uderzenie w żebro. Facet posłużył się wysuniętym z pięści zgiętym środkowym palcem.

– Co? Dlaczego?

Najbliżej chłopców stał podobnie wyglądający młody mężczyzna.

Zwrócił się w ich stronę.

Ujmie się – Stefan liczył na pomoc.

– Nie słyszałeś, co do ciebie mówią? Spieprzaj!

Rysiek złapał Stefana za ramię.

– Chodź – pociągnął go do tyłu. Cofali się bez problemu. Zgromadzeni rozstępowali się przed nimi. Gdy byli już daleko od trybuny, Rysiek przystanął.

– Tyś nie zauważył? – szeptał koledze do ucha. – To byli tajniacy! Wszyscy mieli takie same buty i tak samo podcięte włosy.

– Cholera! Nie zauważyłem. Bydlak mnie uderzył.

– Przeżyjesz.

Z nowego miejsca było kiepsko widać, słyszeli jednak każde słowo.

– ... Polska nie ma innej alternatywy, jak socjalizm; Polska nie ma innej alternatywy, jak sojusz ze Związkiem Radzieckim, gwarantem nienaruszalności naszych granic. Rewanżyści i neofaszyści w Niemczech znów podnoszą głowy i żądają rewizji granic. My, mieszkańcy odwiecznie polskich Ziemi Odzyskanych, dobrze znamy wartość pokoju. Kto nam zagwarantuje ten pokój? Anglia? Francja? Tak, jak w 39. roku? Jedynym gwarantem pokoju i nienaruszalności naszych granic jest Związek Radziecki. Sojusz ze Związkiem Radzieckim nie jest wymysłem polskich komunistów, jest polską racją stanu... Partia popełniła w przeszłości błędy, ale towarzysz Gomułka, stojący teraz na czele partii, jest gwarantem zmian, gwarantem poprawienia bytu mas pracujących miast i wsi. Polska Zjednoczona Partia Robotnicza ma w swoich szeregach prawych ludzi, prawych komunistów. Wyczyścimy nasze szeregi ze zgniłych owoców. Pozostaną w naszych szeregach tylko ci, którzy szczerze i ofiarnie chcą pracować dla dobra ludu pracującego. We władzach partii nastąpią zmiany. Winni wypaczeń zostaną ukarani. Nie możemy opuścić towarzysza Wiesława w tych historycznych chwilach. On liczy na nasze poparcie. Poparcie nie tylko członków partii, ale i bezpartyjnych, wszystkich obywateli Polskiej Ludowej, wszystkich Polaków... Niech żyje socjalizm!... Niech żyje towarzysz Wiesław!...

– Niech żyje!... – podjęli okrzyk stojący najbliżej ciężarówki.

– Niech żyje!... Niech żyje! – podjął tłum.

Chłopcy spostrzegli jakieś zamieszanie przy trybunie. Przez tłum przeszedł szmer. Wszyscy stawali na palcach i wyciągali szyje. Stefan podskakiwał, żeby zobaczyć, co się tam dzieje. Niewiele pomogło. Nagle na trybunę wskoczył mężczyzna w średnim wieku, wygładził rękoma płaszcz i szybko podszedł do mikrofonu.

– Polacy!... Rodacy!... Nie dajcie się oszukać. Nie dajcie się omamić. Ta

banda... .

W tym momencie zamilkły megafony. Mówca kontynuował, żywo gestykulując. Przypominał teraz komedianta z niemego filmu. Po tłumie przeleciał śmiech. Widowisko trwało krótko. Na trybunę wskoczyło dwóch młodych, rostrych mężczyzn. Wzięli delikwenta pod ramiona. Nie protestował. Dał się prowadzić, tylko głowę spuścił nisko na piersi.



www.feedbooks.com
Food for the mind